

~~WYWIAD NR 2~~
~~ARCHIWUM WSCHOĐNIE~~

ARCHIWUM WSCHOĐNIE
 II 109

~~Urodził się~~ (Jan Michalski). (Mój ojciec i mama mieszkali w Krakowskiem. Ojciec brał udział w Legionach i jako legionista został zwerbowany na kresy. Tam zakupił około 10¹-15¹ morgów pola i przesiedlił się gdzieś w 1921¹-22 roku na te ziemie ~~Dokładnie~~ do miejscowości Beckelsdorf - polska nazwa Nowosiółki. A dokładnie do osady Łęczówka koło Nowosiółek, powiat Podhajce. To było około 10 km od Podhajec. Mama pochodziła z tej samej wioski co tatuś i razem z nim się ~~tu~~ znalazła, i razem z moim rodzeństwem - ~~był~~ było, żyjących w tym okresie ~~x~~ (1939) ~~x~~ trzech i cztery siostry. Jeden z moich starszych braci był w 1939 roku w wojsku i nie wrócił z wojny - prawdopodobnie zginął - jego koledzy, którzy wrócili widzieli jak spadł z konia. Służył w lekkiej artylerii gdzieś w Stanisławowie.

~~U~~rodziłem się 27 VII 1931 roku w Nowosiólkach. W roku rozpoczęcia wojny zacząłem chodzić do pierwszej klasy. ~~Z~~ tym, że po wkroczeniu Rosjan szkoła została zamknięta. Imiona moich rodziców - Franciszek i Barbara.

W okresie wkraczania Rosjan mieszkaliśmy przy takiej głównej trasie ~~Brzeżany~~¹⁻¹ Podhajce¹⁻¹ Zaleszczyki. Pamiętam rozmowy ojca z sąsiadami, że w tym momencie, kiedy zaczęto żyć względnie dobrze, bo te wszystkie długi zostały pospłacane, no to przyszła wojna. Widziałem ~~armię~~ armię polską, która wycofywała się w kierunku na Zaleszczyki dzień i noc. Pamiętam wkraczanie armii rosyjskiej. Niedaleko nas mieszkający znajomy został postrzelony przez Rosjan. Widząc wkraczające pierwsze kolumny armii zaczął uciekać. On należał do Orląt i był w "orlęcim" mundurze. W trakcie ucieczki został postrzelony. Ubiór polskich i rosyjskich żołnierzy był skrajnie różny. Armia polska, pomimo, że była pobita i się wycofywała była armią, widziało się dużo samochodów, dział. Natomiast u armii rosyjskiej tego się nie widziało. Mały pododdział Rosjan po ich wkroczeniu ¹⁻¹ został tylko w Podhajcach. Od czasu do czasu przyjeżdżali do wójta, który mieszkał obok nas. Zachowywali się początkowo poprawnie (późną jesienią). ~~Trzech siagali ojca swojego~~

Trochę ciągnęli mojego ojca, bo mój brat, który zginął na wojnie miał broń, którą sobie przywiózł jeszcze z krakowskiego. I mój brat na jakiejś zabawie postrzelał sobie trochę. I o tę broń Rosjanie się dopytawali mojego ojca i starszego ode mnie o dwa lata brata, czy nie wiedzą, gdzie jest schowana. Poza tym specjalnie nas nie ruszano.

Ludzie nie witali Rosjan z entuzjazmem, mówili, że ich wkroczenie przyspieszyło kapitulację Polski. W mojej wiosce jeden dom był żydowski, jeden niemiecki. Żydzi i Niemcy nie reagowali inaczej na wkroczenie Rosjan niż Polacy. Potem pamiętam okres w którym doszło do wywózki.

Wczesnie rano w zimie przyjechały sanie, kazano ojcu zaprzęgać konie i pakować się. Na dwoje, troje san konwoju był jeden żołnierz radziecki, sanie były ukraińskie, konie należały do wywożonych. Ukraińcy i ten Rosjanin, który z nimi był powiedzieli nam, żeby zabierać wszystko co tylko można zabrać szybko. Czas na spakowanie był ograniczony - około pół godziny, godzina. Nie mieliśmy chleba. Spytali się nas, gdzie mamy kogoś znajomego blisko, żebyśmy mogli wziąć chleb na drogę. Tysiąc metrów od nas mieszkała rodzina ukraińska, mama pobiegła tam i pożyczyła trochę chleba. Z Ukraińcami żyliśmy dość dobrze, nie miał tatusz z nimi zatargów. Mamie pozwolono pójść po ten chleb. A na miejscu ten Ukrainiec, który po nas przyszedł powiedział, że zabije nam świnie, żebyśmy ją sobie wzięli na drogę. Zabił ją i wrzucił na sanie. Powiedział, że po drodze ją sobie oporzędzimy. Nie powiedziano nam, gdzie my jedziemy. Było to dla nas pełne zaskoczenie, nikt się tego nie spodziewał. Wszystko to działo się w okresie silnego mrozu w lutym 1940 roku, chyba 9-10 lutego.

To była w ogóle pierwsza wywózka, która tam była. Z naszej osady wszyscy zostali zabrani z wyjątkiem tego Żyda i Niemca oraz Ukraińców. Zabrano wszystkich Polaków. Wywozili nas Ukraińcy - jedne sanie były ukraińskie, drugie nasze. Siostry w tym czasie nie było w domu, spotkaliśmy ją po drodze, wracała ze Lwowa. Kiedy powiedzieliśmy, że to siostra, kazali jej dołączyć do nas. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że jedziemy na Syberię.

Jechaliśmy do pierwszej stacji kolejowej za Podhajcami. Tam były podstawione wagony i tam nas wszystkich dowieziono, cały duży transport. Saniami przejechaliśmy około 20 km. Bliżej było do stacji w mieście, ale chodziło chyba o to żeby ominąć miasto, dlatego wszystko odbyło się na małej stacyjce, chyba w Chodorowie. Wagony były bydłace. Załadowano kilkanaście rodzin do jednego wagonu. Wszystko co było na saniach pozwolono zabrać. Nie było tego dużo, bo my byliśmy wtedy małymi dziećmi - ja miałem wtedy osiem lat, brat był młodszy o dwa lata no i dwie starsze siostry oraz rodzice - razem osiem osób. Jechaliśmy przez Lwów. Dorosli pytali się kolejarzy, gdzie nas wiozą, (pomimo że wagony były pozamykane, można było uchylić lufci). Powiedziano, że w zależności od kierunku w którym jedziemy, pojedziemy albo na zachód, czyli do miejsc zamieszkania przed przyjazdem na Kresy, albo jedziemy w głąb Rosji na wywózkę. No i po minięciu którejś stacji, może Sarn, okazało się, że jedziemy w głąb Rosji. (Podróż trwała ponad miesiąc, ~~-----~~ Nie pamiętam przez jakie tereny jechaliśmy. Wiem, że znaleźliśmy się w okolicy Swierdowska, i tam na Uralu zaczęto rozparcelowywać ten transport. Część ludzi zostawili już przed Swierdowskim, a część pojechała za Swierdowsk w okolice gór Uralu, nas wysadzono w powiatowym miasteczku Suchoje Łoże. Stamtąd zawieziono nas do baraku 201, to było około 20 kilometrów od stacji. W tej okolicy zostawiono dość dużo ludzi. Z Łęczówki i Nowosiółek znalazła się tam większość wywiezionych. Cały transport sformowany był w naszej okolicy / (Nowosiółek) & i po drodze nikogo już nie doładowywano. Wagonów było tak dużo, że ciągnęły je trzy parowozy. Parowóz był z przodu, z tyłu i w środku. Nie kontaktowaliśmy się po drodze z miejscową ludnością cywilną - była odizolowana. Konwój był prowadzony przez wojsko lub enkawudzistów i zbliżeń z ludźmi nie było żadnych. Podawano nam posiłki, gorącą wodę, węgiel do piecyków. Pociąg stawał w polu tuż przed stacją, lub za stacją. Na stacji nigdy pociąg nie stał. Nie wiem jak ludzie przetrzymali tę podróż, nie wiem ile było zgonów, wiem, że jakieś zgony były, ale ile osób zmarło nie wiem. Natomiast pamiętam okres po przyjeździe, okres pracy w lesie.

W uczestoku, w którym mieszkali Polacy, gdzieś około pięciu kilometrów od nas było już dużo zgonów. Tam mieszkało więcej ludzi - u nas był tylko jeden barak. Przede wszystkim umierały dzieci, bardzo dużo było zgonów małych dzieci i ludzi starszych. Ten większy uczestok - miejscowość obok nas to była Winokurka, a myśmy mieszkali w uczestoku 201. To był barak. Całe naczalstwo, zarządcy mieszkali w Winokurce. Tu gdzie mieszkaliśmy była tylko jedna rodzina rosyjska, reszta to Polacy. Z naszej wsi Polacy byli w baraku 201 i w Winokurce. Winokurka położona była w odległości około 20 kilometrów od stacji Suchoje Łoże. Z Suchoj-łoża dowieziono nas na miejsce saniami. W jednym mieszkaniu w baraku mieszkało kilka rodzin. Jedno mieszkanie miało powierzchnię 20 - 25 m, było odgrodzone deskami od następnego mieszkania, także między mieszkaniami słychać było wszystko, co się mówiło. W baraku mieszkało około stu osób. To było około piętnastu rodzin. Każde mieszkanie to było jedno pomieszczenie. Kuchnia była wspólna, tak zwana stołowaja, tam gotowano dla wszystkich, była tam kucharka Rosjanka. Była również taka kuchenka osobno dla pozostałych ludzi, jeśli ktoś chciał sobie sam ugotować. W baraku było ciepło, dlatego, że naokoło był las. Były piece, rąbało się drzewa z lasu tyle ile się chciało i było ciepło. Natomiast były pluskwy i wszy. Wyżywienie było bardzo mizerne, chociaż dużego głodu w pierwszym okresie (przed wybuchem wojny radziecko-niemieckiej) się nie odczuwało. Pamiętam wybuch wojny radziecko-niemieckiej - pożegnanie się Rosjanina, który u nas mieszkał z żoną. Powiedział, że on już z tej wojny nie wróci i tak się stało. Przyszedł wtedy okres krytyczniejszy, zaczęły pojawiać się choroby i zaczęto ograniczać wyżywienie. Całość chleba szła dla wojska. Były więc takie okresy, że chleba w ogóle nie było, a w zamian dano trochę mąki. Ile to było dokładnie w tym czasie gramów nie pamiętam. W późniejszym okresie było 200 gramów dla nie pracujących i 700-800 gramów dla pracujących. Ale to już w 1942 roku. Spośród naszej rodziny pracowały w lesie moje dwie siostry, ojciec i mama. Mój tatuś zaczął zapadać na zdrowiu. W lecie (1940) ~~χ~~ dostał zapalenia stawów, tak, że

nie mógł się poruszyć. Ojciec pracował przy ręcznym wyrębie lasu. My - dzieci chodziliśmy na jagody, na grzyby, bo jagód i grzybów było dość dużo, także okres do lata 1941 roku jeszcze nie był najgorszy. Ludność miejscowa, mieszkająca w wiosce położonej około 6km od nas była do Polaków nastawiona dobrze, nie było żadnych zatargów. Prawdopodobnie byli to też zesłańcy. Tam gdzie stał barak 201 była kiedyś kopalnia złota.

↳ Każdego ranka, kiedy jeszcze było ciemno obie siostry wychodziły do lasu do pracy i wracały też jak już było ciemno. Jeden dzień w tygodniu był wolny, wtedy były robione prania i porządki. Mama pracowała dość blisko - piłowała drzewo do stołówki, wykonywała prace porządkowe, nie chodziła do lasu. Ojciec pomimo, że cały czas chorował chodził do lasu. Stosunki pomiędzy Polakami mieszkającymi w naszym baraku były dobre. Jeden drugiemu współczuł. Jeśli ktoś umierał pomagano sobie przy kopaniu mogiły i pochówku. Ludzi chowano w lesie - nie było miejsca na cmentarz. Modliliśmy się na głos w domu. W okresie do 1941 roku nie przychodziły żadne paczki ani listy. Po rozpoczęciu wojny radziecko-niemieckiej zaczęły przychodzić listy z frontu do Rosjanki - sklepowej i kucharki w naszym baraku. Ona się dzieliła z nami wiadomościami, które miała z frontu. Oną czytała po rosyjsku - u nas, w tym okresie, prawie nikt nie umiał czytać po rosyjsku. Nasze dzieci posłano do szkoły rosyjskiej, ale to były klasy początkujące. Szkoła była w Winokurce. Do szkoły chodziłem tylko w lecie. Zimą już nie - było za daleko i nie było w co się ubrać.

↳ Po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej Polacy twierdzili, że chyba jednak Niemcy wojnę przegrają. Kiedy dowiedzieliśmy się, że tworzy się armia Andersa myśmy próbowali uciekać stamtąd. Nikomu nie pozwolono na oficjalny wyjazd i zmianę miejsca zamieszkania. Próbowaliśmy ucieczki w zimie z 1941 na 1942 rok. Tatuś zbił dwoje sanek. Razem z nami próbowało ucieczki jeszcze pięć - sześć rodzin, w tym rodzina, z którą byliśmy spokrewnieni - syn sąsiada ożenił się z moją siostrą.

Uciekaliśmy do Suchojłoża właśnie z tą rodziną. W tej rodzinie więcej było osób młodszych i silniejszych, więc rozłączyliśmy się. Oni się nie zatrzymywali po drodze, my zostaliśmy na odpoczynek we wsi przez którą przejeżdżaliśmy. Im udało się uciec i przez Czelabińsk wyjechali wogóle z Rosji. Natomiast nas zatrzymano już w Czelabińsku, około 200 kilometrów od miejsca zesłania. Trudnością było dostanie się do pociągu w Suchojłożu, gdzie była stacja kolejowa. Rodzina, która od nas się odłączyła dostała się do popołudniowego pociągu. Myśmy do pociągu dostali się dopiero na drugi czy na trzeci dzień i dojechaliśmy do Czelabińska. Przed Czelabińskiem pociąg się zatrzymał, gdzieś cztery, pięć kilometrów przed stacją. Nas stamtąd wrócono. Wracali nas chyba jacyś Żydzi czy Polacy nie z naszej miejscowości, przekonywali nas, że nie ma dokąd jechać, że tam panuje głód, choroby i nie przyjmują Polaków w armii Andersa. Przypuszczam, że to była taka propaganda. A jak byśmy minęli Czelabińsk to prawdopodobnie dotarlibyśmy do armii Andersa. Nie wróciliśmy do 201 baraku tylko zatrzymano nas w Suchojłożu. Wszystkich próbujących ucieczki zatrzymano w Suchojłożu, dano nam pomieszczenia w barakach, również po dwie rodziny razem. - myśmy mieszkali z też z drugą rodziną. Dużo gorzej było tu z opakiem. Tu rozpoczął się głód. Ja chodziłem po prośbie, żeby dostać kawałeczek chleba, do tej wsi przez którą uciekaliśmy, tak samo mój starszy brat. Siostry i ojciec pracowały w tym okresie w cementowni w Suchojłożu. Mama zachorowała i już nie była zdolna do pracy. Umarła wczesną wiosną 1942 roku. Przyczyną śmierci mogła być choroba nowotworowa no i głód. Głodowaliśmy, bo wszystkie nasze zapasy i pieniądze poszły na próbę ucieczki. Ojciec pracował w oddziale wojskowym cementowni, prawdopodobnie przy nasypywaniu prochu do worków. Pracował w ubiorach gumowych. Siostry pracowały przy rozładowywaniu węgla i ładowaniu go na wózki do elektrowni.

Ojciec zmarł na ~~grudniu~~ 1942 roku. Jeszcze trzy, cztery dni przed śmiercią chciał pójść na zwolnienie lekarskie, bo miał odmrożone nogi i ręce, i nie dostał tego zwolnienia lekarskiego. Ale pomimo, że był bardzo

obowiązkowy nie miał już siły żeby pójść do pracy. Zmarł chyba na skutek przeziębienia i ogólnego wyniszczenia organizmu, na skutek niedożywienia. Kiedy umarł ojciec nas chciano zabrać do domu dziecka. To znaczy wszystkich trzech chłopaków. Starszego urodzonego w 1929 r., młodszego urodzonego w 1934 roku i mnie. Ale siostry się nie zgodziły. W związku z tym tylko starszego brata zabrano do szkoły przysposobienia zawodowego, natomiast mnie i młodszego brata nie zabrano. Ze starszym bratem nie mieliśmy potem kontaktu. Trafiał do zakładów mechanicznych blisko Swiedroworska, do szkoły przyzakładowej sierot. Razem z nim trafił tam też syn sąsiada, którego rodzice umarli w tym okresie po nieudanej ucieczce. Z tym, że brat mój wrócił do Polski, a tamten chłopak już nie wrócił. Kiedy zaczęto formować Pierwszą Dywizję imienia Tadeusza Kościuszki starsza siostra została wcielona do wojska na wiosnę 1943 roku. Młodszą siostrę też chciano wcielić ale ona powiedziała, że nas nie zostawi i nie poszła do wojska. Opiekowała się nami do końca pobytu w ZSRR.

Po wyzwoleniu ziem ukraińskich, nas jako rodziny wojskowe przerzucano na Ukrainę. W miejscowości w której przebywał mój starszy brat były rodziny polskie. On skontaktował się z tymi rodzinami, i kiedy Polaków przewożono na Ukrainę on także z jedną z rodzin polskich znalazł się na Ukrainie. Ta rodzina zaadoptowała go jako syna, bez żadnych dokumentów.

Wcześniej, w Suchojłozu chodziłem trochę do szkoły, ale również pracowałem jako taki pomocnik do wszystkiego. Pracowałem w sowchozie przy cementowni, dlatego, że jak się pracowało dostawało się trochę więcej jedzenia. Całe lato pracowałem w tym gospodarstwie w 1943 roku.

W 1944 roku przewieziono nas na Ukrainę. Do Osnowy nad Dnieprom, powiat Kachowka, województwo ^{Cherson} ~~Hersonsk~~. To było tuż nad Dnieprem. Jechaliśmy wagonami bydłowymi, transportował nas oficer czy chorąży armii polskiej. Byliśmy inaczej traktowani, mieliśmy wyżywienie w czasie podróży. To był już okres lepszy - zaczęły przychodzić dary

amerykańskie, już w lecie 1943 dostałem jakieś spodnie, coś do ubrania. Pamiętam, że kiedy zachorowałem i dostałem czyraków siostra zaprowadziła mnie do szpitala. W szpitalu Rosjanka pytała mnie skąd mam takie ładne spodnie z podszewką i ściągaczami. Z Suchojłóża pamiętam jeszcze duże kolejki za chlebem. Do Suchojłóża przeniesiono z Woroneża oficerską szkołę artylerii. Mieliśmy kontakty z Rosjanami - żołnierzami z tej szkoły. Oni nieraz prosili żeby coś im załatwić w mieście bo byli skoczaroniani. Jeden z kadetów poprosił mnie żeby coś przynieść jego rodzinie z pobliskiej wsi. Był zdziwiony kiedy przyniosłem mu od tej rodziny jakąś paczkę, był bardzo zadowolony. Zawsze za takie usługi coś dostałem. Ten okres był bardzo przyjazny. Szwęólnie wojskowi, którzy wiedzieli, że jesteśmy Polakami odnosili się do nas bardzo grzecznie. Co prawda my - dzieci biliśmy się z dziećmi rosyjskimi. Natomiast stosunek Rosjan do Polaków był dobry. W 1943 roku zaczęto przywozić tu / (do Suchojłóża) Rumunów z Besarabii i Mołdawii no i Ukraińców. W lecie 1943 roku na te ziemie przyszła druga fala zesłańców.

Na Ukrainie mieszkaliśmy w miejscowości Osnowa nad Dnieprom. Była to dawna kolonia niemiecka. Domy były murowane, znajdowało się tu gospodarstwo uprawy winorośli.

Przyjechaliśmy tu wiosną 1944 roku. Podróż trwała około dwóch tygodni. W Mińsku widzieliśmy trupy jeńców niemieckich wyciągnięte z wagonów. Nogi mieli powiązane drutem kolczastym, jeden do drugiego i leżeli tak niczym nie przykryci. Jechaliśmy dość szybko, bo chyba w Swierdowsku albo gdzieś bliżej Moskwy zostaliśmy doczepieni do pociągu wojskowego. Ten transport dojechał do Hersoncka i w Hersoncku część transportu została, a część porzrucano wzdłuż Dniepru po jednej i po drugiej stronie. Jechaliśmy przez Swierdowsk i Mińsk.

W Osnowie miejscowej ludności było mało. (Część jej zajęła nasze miejsce na Syberii i Uralu. Ukraińcy zostali wywiezieni bo zarzucano

in współpracę z Niemcami. Wystarczyło, że w czasie okupacji niemieckiej ktoś kupił krowę i już był wywożony na Syberię. Na Ukrainie nas przymusowo posłano do szkoły. Wszystkie dzieci zaczęły się uczyć. Chodziliśmy do szkoły rosyjskiej. Stosunki między Polakami a tutejszymi Ukraińcami nie układały się najlepiej. Myśmy się bardzo bili z dziećmi ukraińskimi. W okresie letnim młodzież i dzieci pracowały przy zbiorze winogron. Ja również od wczesnej wiosny pracowałem, w zimie chodziłem do szkoły. Tak samo mój młodszy brat. Nawiązaliśmy kontakty ze starszym bratem, który z jakimś transportem wylądował w okolicy Kachowki, 30 - 40 kilometrów od nas w kołchozie rolniczym. Pamiętam, że kiedy dowiedział się gdzie jesteśmy przyniósł nam trochę pszenicy. Była już wtedy pomoc z UNRY, chleb był cały czas, już o żywność było łatwiej. Nie było głodu. Całe lato były winogrona i owoce. Z tym, że było dużo chorób. Ja chorowałem bardzo na malarię. Zacząłem chorować tuż po przyjeździe a skończyłem w 1947 roku.

Mieszkaliśmy we dwie rodziny w jednym dużym ponemieckim pokoju, w normalnym domu. Najważniejsze, że było ciepło i było co jeść i człowiek widział już koniec wojny. Kiedy przyjechaliśmy, w kołchozie było tylko kilka koni i osioł, później wrócili Ukraińcy z końmi, krowami i całym dobytkiem. Pamiętam, że do tego kołchozu przyjechał Chruszczow, Sekretarz Ukrainy. Powiedział, że kołchoz dostanie krowy i konie. I po jakimś tam czasie, z Rumunii to wszystko napłynęło. Pamiętam koniec wojny - ogólną radość, że będziemy mogli wrócić. Czekano na powrót z dnia na dzień. Były już pierwsze kontakty z rodziną - listy od cioci mojej, która mieszkała w krakowskim. Nie było już zgonów, nie pamiętam by w tym okresie ktoś z Polaków zmarł. Mieliśmy kontakty listowne z siostrą, która była w wojsku. Po skończeniu wojny w lecie 1945 roku nastąpił okres represji w stosunku do Ukraińców. Przy winogronach pracowała razem z nami rodzina ukraińska. Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że ją także wysłano na Sybir, tak z dnia na dzień. Już nie przyszli do pracy, powiedzieli, że jadą na Sybir. Jedna z Ukrainek znała się dobrze z bratem chłopaka z tej rodziny. Chłopak ten był niespełna rozumu. Jego brat był gierojem Sowiecko-

~ 10 ✓

wo Sojuza. A gieroje Sowietskowo Sojuza i ich rodziny byli nietykalni. Ukrainka ta zawiadomiła w jakiś sposób tego gieroja Sowietskowo Sojuza, że jego rodzinę wyrzucono na Sybir. I w przeciągu dwóch tygodni ta rodzina wróciła. Z tym, że nie wróciła do tej miejscowości tylko do sąsiedniej.

W okresie ukraińskim żyliśmy wszyscy zwycięstwami na froncie. Ale po zakończeniu wojny zanim wróciliśmy do Polski upłynął prawie rok. Wróciliśmy do Polski w pierwszych dniach marca 1946 roku. I wracaliśmy na ziemię zachodnie, razem z siostrą i młodszym bratem. Starszy brat wrócił osobno z rodziną przybraną. On wrócił nielegalnie. Krótco po przyjeździe do Polski skontaktował się z nami. Nie umiał prawie nic po polsku, rozumiał ale nie potrafił się wysłowić. Jego kolega Polak w ogóle nie wrócił. Nie wrócił z Uralu na Ukrainę i potem w ogóle nie wrócił do Polski. Poszukiwano go, ale nie odnaleziono go po wojnie. Mój brat mówił, że on nie przyznawał się, że jest Polakiem.

Po zakończeniu wojny spodziewaliśmy się każdego dnia, że wrócimy do Polski. Wracaliśmy do Polski tak, że ze względu na trudności komunikacyjne w styczniu czy lutym 1946 roku wylądowaliśmy w jakimś kołchozie nad Morzem Kaspijskim. Tam dwa tygodnie czekaliśmy na transport. Do tej miejscowości nad Morzem Kaspijskim dowieziono nas samochodami. Wszyscy złożyliśmy papiery do biur repatriacyjnych. Papiery wszystkich Polaków, którzy przyjechali na Ukrainę były złożone u władz miejscowych, które wiedziały kto jest kto. Później jeszcze trzeba było wyrazić chęć powrotu. Tam nie wszyscy wiedzieli, że jestem Polakiem. Umiąłem w tym okresie bardzo dobrze mówić po rosyjsku. Zresztą ludność tam była bardzo napływowa. Trochę było miejscowych, trochę Polaków, trochę napływowych Ukraińców. Rodzin polskich było bardzo mało - w Osnowie nad Dnieprom było nas 7 - 8 rodzin. Wszystkie wróciły. W transporcie w czasie przejazdu z Uralu na Ukrainę poznaliśmy rodzinę pólukraińską, także wywiezioną. Oni wrócili do Polski wcześniej, pojechali w tarnopolskie. Inna z rodzin polskich, która wracała z nami nie pojechała na zachód Polski, wysiadła w okolicach Jarosławia. Nas wieśli przez Przemyśl, Tarnów, Kraków do Opola. To było w końcu lutego i marcu 1946

roku. Myśmy wylądowali na granicy niemiecko-polskiej koło Żagania. Najwięcej naszych znajomych osiedliło się w okolicy Zgorzelca. Tam w tej chwili mieszka moja siostra i brat. Natomiast ja miałem trudny okres po powrocie. Jedna siostra była jeszcze w wojsku, druga siostra była u cioci w krakowskim. Jej mąż był oficerem w wojsku, został zwolniony dopiero w 1951 roku kiedy zwalniano wszystkich tych niebłagonadiożnych. Jego rodzina, która uciekała razem z nami z Uralu, uciekła i była na Zachodzie. Natomiast on razem z moją siostrą poszedł do I-szej armii WP. W pierwszej armii była też druga moja siostra, trzecia siostra opiekowała się mną i moim młodszym bratem. Po powrocie ta siostra zawiozła nas do rodziny w krakowskim. Ja wylądowałem u jednej cioci, brat u drugiej. Tam rozpoczęliśmy naukę w szkole. W 1948 roku wyjechałem na zachód Polski, zgłosiłem się do szkoły przysposobienia zawodowego. Po szkole wylądowałem w zakładach obuwniczych w Prudniku. Zacząłem chodzić do szkoły handlowej. Przyszedł okres poboru do wojska. Nie chciałem pójść do służby zasadniczej. I tak znalazłem się w szkole Oficerskiej WP, w szkole felczerów w Łodzi. Skończyłem tę szkołę wojskową. Nie miałem żadnych kłopotów w związku z moimi losami w ZSRR.

Uważam, że Rosjanie w sumie nie byli źle do nas ustosunkowani. Z tym, że sami nic nie mieli. Najgorszy dla Rosjan i dla nas był rok 1942. Oni tak jak my stali w kolejkach za chlebem całą noc, przy mrozach czterdziestokilustopniowych. Na drobne kradzieże przymykali oczy. Przynajmniej tam, gdzie my byliśmy. Natomiast nasz sąsiad, który został w Winokurce ukradł dwa pilniki do ostrzenia piły. Ktoś go złapał przy sprzedaży tych pilników i dostał za to pół roku więzienia. Poszedł do więzienia i po kilku tygodniach już nie żył. Warunki w więzieniu były okropne. Więźniowie pracowali w fabrykach zbrojeniowych, gdzie praca była bardzo ciężka. Przede wszystkim ze względu na silny mróz i niedożywienie. Śmiertelność była dość duża.

Moja starsza siostra, która była mężatką i mieszkała w Trembowli została wywieziona z dwojgiem dzieci na Syberię, do Krasnojarskiego Kraju. Ona pracowała w kopalni złota. Warunki tam były cięższe niż tma, gdzie nas wywieziono. Ona wróciła do Polski z dwojgiem dzieci -

nikt z nich nie umarł. A inna moja siostra była wywieziona w okolice Swiedroworska. Pracowała w lesie. Polacy z jednej miejscowości byli po wywózce porozrzucani w różne miejsca, w zależności gdzie który wagon trafił. Z jednego województwa tarnopolskiego myśmy trafili na Ural a siostra trafiła na Syberię. Większość Polaków trafiła chyba jednak na Ural. Polacy pracowali przy wyrębie lasu, przy spalaniu drzewa, w cementowni. Po powstaniu pierwszej dywizji WP część Polaków przeszła do lżejszej pracy w kołchozie.

Sporządzone w czerwcu 1988